

MAŁY ŚWIĄTEK

Rok 42.

Kraków, 1. października 1929 r.

Nr. 2.

PISMO ILUSTROWANE DLA STARSZEJ DZIAŁY.



Na fujarce.

I.

Tram, ...tam...
Tram, ...tam...
Na fujareczce Ci gram,
Bo tylko piosnkę swą mam.
Melodję tęskną Ci dam,
Tram — tam,
Tram ta ram.

II.

Padają liście już z drzew,
Tram — tam,
Na cześć Twą niech płynie mój śpiew,
Co w duszy swej czuję dziś sam,
Na swej fujareczce Ci gram.
Tram ta ram.

III.

Owieczki me błdzą we mgle
Tram — tam,
Do Twej figurki wśród drzew,
Niech dojdzie, Matko, mój śpiew,
Który Ci z duszy śle,
Tram tam,
Kiedy mi smutno i źle,
— Gdy jestem sam. —

IV.

Piosenka moja, dojdź tam,
Tram — tam,
Tam dźwięcz,
aż do niebieskich idź bram,
Kędy Maryja wśród tęcz,
Króluje gwiazdom i nam
Tram tam,
Tram ta ram.
Na fujareczce Jej gram.

S. M. T.

PRZYGODY JURKA NA POWSZECH. WYSTAWIE KRAJOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Poszli dalej, przemykając się między tłumem zwiedzających. Wyszli znów przed Wieżę Górnośląską. Jurek opowiedział Stachowi, jak wyglądają jego rodzice i teraz we dwóch uganiali się za każdym błękitnym kapeluszem i każdym popielatym ubraniem. Niestety, wszystko nadaremno.

Przebiegli przez pawilon przemysłu metalowego, zatrzymali się chwilę w pawilonie ciężkiego przemysłu i poszli dalej. Olbrzymi piec hutniczy pokazywał swoją rozwartą czelusć. Oglądając go, Jurek chwycił ręką za poręcz ogrodzenia jakiejś maszyny, stojącej po przeciwnej stronie przejścia. Poczuł chłód przejmujący. Obejrzał się. W ten upalny dzień lipcowy poręcz była cała pokryta szronem. Zebrał garść białego szronu, zbliżył się do Stacha zapatrzonego w piec hutniczy. Miał ochotę mu ją za kołnierz wpakować, ale się w porę opamiętał. Był przecie nie na dziedzińcu szkolnym, ale na wystawie. Delikatnie wsunął kulę śnieżną Stachowi do kieszeni.

— Czy mógłbyś mi pożyczyć chusteczki? — poprosił układnie. Stach sięgnął ręką do kieszeni.

— Co to? — wykrzyknął. — Skąd ten śnieg?

Po minie Jurka poznał, że to musiał być jego figiel. Poszli potem razem oglądać „chłodnice“ (tak się nazywały maszyny, wytwarzające sztuczny lód).

Ruszyli dalej. Przeszli obok „Stoczni Gdańskiej“ t. zn. fabryki budowy okrętów i wyszli z pawilonu.

— O spójrz, co za dziwny budynek! — wykrzyknął Stach.

Jurek się przyjrzał.

— To jest szyb naftowy. Widziałem taki w Borystawiu, jak byłem u wujaszka.

Obejrzelili razem szyb. Jurek tłumaczył Stachowi, jak to się w ziemi świdruje. Wyszli potem obaj. Czuli się głodni i zmęczeni.

Wieczór już był. Słońce zachodziło, a rodziców Jurka jeszcze nie znaleźli. Jurkowi buzia się całkiem wydłużyła. Nie płakał, bo się wstydził Stacha, ale na płacz mu się porządnie zbierało. Stach też miał dość rzadką minę.

Ktoś Jurka trącił. Żywo podniósł głowę. Przed nim stał chłopak z pełną tacą czekolady.

— Może pan kupi, doskonała czekolada. Jurkowi ślinka nadbiegła na język. Przypomniał sobie, że tatuś mu dał pięć złotych, żeby sobie coś kupił na wystawie. Wydostał paperek.

— Proszę dać za to czekolady.

Chłopak uradowany w jednej chwili schował paperek i zaczął liczyć. W krótko prawie cała zawartość tacy znalazła się w kieszeniach Jurka i Stacha. Tak byli obładowani, że ręce też mieli pełne tabliczek czekolady.

— Teraz jedzmy — zawyrokował Jurek.

Rozwinął tabliczkę czekolady. Za jego przykładem poszedł Stach. Już obaj nieśli smakowity kawałek do ust, już obaj czuli miły zapach czekolady, gdy Jurek wykrzyknął:

— O... O... O... i puścił się pędem za odjeżdżającym wózkiem, na którym mignął mu błękitny kapelusz.

Za Jurkiem podążył Stach z buzią pełną czekolady.

Wagonik skręcił na prawo. Jurek dopadł go wreszcie i zajął pod błękitny kapelusz. To nie była mamusia.

Zmęczony i zasmucony chłopiec stanął bezradnie. W tej chwili dopadł go Stach, który zbierał po drodze gubioną przez Jurka czekoladę. Z miny Jurka domyślił się wszystkiego.

— No nie turbuj się. Wszystko się znajdzie. O, a co to za wagon? — mówił, rozglądając się.

— To pewno polskie wagony — zawyrokował Jurek.

— A ta lokomotywa... Hm — całkiem piękna.

Chłopcy poszli naprzód i skręcili do pawilonu. Samochody! to ci radość. Oglądali piękne, lśniące maszyny, a Jurek, który często jeździł autem i zawsze siedział koło szofera, tłumaczył Stachowi, jak to się kieruje.

Wyszli wreszcie z tego pawilonu. Obaj czuli się bardzo zmęczeni. Rozglądając się na wszystkie strony za rodzicami Jurka i wycieczką Stacha, weszli do następnego pawilonu.

— Ooo! — wykrzyknęli obaj naraz.

Przed nimi stały z nasróżonemi śmigami i rozłożonemi skrzydłami prawdziwe aeroplany.

— To one takie wielkie — zdziwił się Stach.

— Prawda, a jak lecą, to się wydają takie maleńkie.

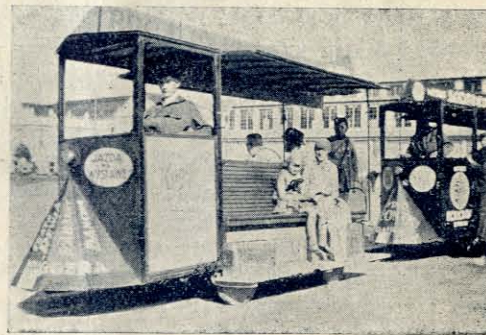
Uradowani i ożywieni chłopcy zaczęli przegląd aeroplanów. Po schodkach wdrapali się i zajrzeli do wielkiego pasażerskiego samolotu.

— Ho, jakie to siedzenia!

— A spójrz — kierownica to taka jak w aucie. Ot przejechaćby się.

C. d. n.

A. Szarska.



Wagonik skręcił na prawo.



CHATA NA ZAŚWIECIU.

Na zaświciu, wiecie? Tam, daleko, gdzie ludzie nigdy nie byli, mieszkał duch matki ziemi; staruszka to już była siwiutenka, bielusienska, a chatyna też w ziemię wrosła, na brzegu strumienia, co się zwał: Zapomnieniem.

Miała starowina owa cztery córki nad podziw urodne, które jej Pan Bóg dał, by ją cieszyły w samotności ale z tem zastrzeżeniem, że trzy miesiące w roku mają spędzać na ziemi, a dziewięć przy matce i miała synów kilku młodych i pięknych. Bardzo się ci braciśzkowie kochali, Wietrzyk wiosenny i Promyczek słoneczny zawdy razem chadzali w okół matczynej chaty a za nimi poważnie kroczył Wicher jesienny i zawsze strojny, rumiany, swawolny braciśzek Mróz i cichy, szary, gotowy do płaczu nieustannego Deszcz.

Jednego dnia matka przywołała najmłodszą córkę, pogładziła włosy złote, przytuliła, pocałowała:

— Czas ci na świat, wiosenko, kochanie. Czas ci na świat.

Ucieszyła się Wiosna bardzo, jako, że dawno już była ciekawa, jak ziemia wygląda i ludzie i co też tam jest po za strumieniem zapomnienia.

Wyprowadzili braciśzkowie białego konia, usiadła na nim, przeto-włosa, różano-lica, roześmiana, rozradowana. Patrzyły za nią tęsknie siostry starsze, wiódł konia za cugle brat Wietrzyk wiosenny i śpiewał na cały głos:

*Idzie wiosna,
radosna,
w słońca powodzi.
Idzie wiosna,
miłosna,*

Z drugiego boku konia pomykał Promyczek słoneczny i nucił:

*Już wam się budzić czas,
już wiosna pośród was.*

Przebyli strumień Zapomnienia i wjechali w ciemny bór. Nie świeciło tu słońce, jak w chacie na Zaświciu, obumarły zdał się las i świat.

— Zimno! — Stuliła królowna ramionka i rozglądała się bliska płaczu. — Czy ludzie wymarli? Nikogo nie widać i tak smutno. Och! Tak smutno...

Poleciał Wietrzyk wiosenny przodem, pomknął Promyczek słoneczny:

— Nie martw się siostrzyczko, już się świat budzi, bo jeno spał. Czarownik Zgon trzymał go w uwięzi przez wiele, wiele lat i świat życia zapomniał. Ale jak my ogrzejemy, jak my przytulimy, my łaski Bożej wysłanicy, prysnie czar i zbudzi się świat.

— Słyszysz...

Zadzwoniły kędys daleko dzwonki, nad ciemną ziemię wyblęśły śniegulki i sasanki i ucieszyły się słońcu:



Wiódł konia za cugle brat Wietrzyk wiosenny.

— Dyn-dy-lin! Dyn! Dyn! Słoneczko świeci! Wietrzyk całuje wiosna! Wiosna!

Porwały się ze snu krokusy, wystrzeliły blado-liljowym, radosnym kwiatem, pokrywając zbocza gór.

— Och co kwiecie! — Ucieszyła się królowna i zapłakała z radości, ciepłe jej łzy spadły na ziemię i zazieleniły się trawy i mchy, zakwitnęły kwiatki.

Nie było czasu na radość, bo tyle, tyle pracy czekało młodą królowną i jej towarzyszyków, trzeba było kwiatami stroić łąki i drzewa, uczyć ptaszęta śpiewania, motylki lotu a ludzi pracy.

Wylegli z chat rozespani, wystraszeni i wkrąg otoczyli królowną.

— Trzy miesiące tylko jestem pośród was, trzy miesiące, trzeba w tym czasie ziemię uprawić, zasiać, posadzić, kto z was zbierać chce. — Uczyła królowna Wiosna ludzi. — O, patrzcie, jak pszczoły się uwijają, jak zbierają z kwiatów miód, im w zimie głód nie dokuczy. Pracujcież i wy, bo kto wiosną leniwy, ten zimą nieszczęśliwy, daremnie chleba będzie wołał i z nędzy zginie.

Zobaczyła królowna dzieci rozbawionych gromadkę i miękką dłoń położyła na lnianych główkach.

— Bawcie się dzieci, ale się i ucicie, bo czego się człowiek wiosną życia nie nauczy, tego już i nie pojmie. Wiosną się sieje wszelaki siew a w lecie i jesieni plony się ma, rozumiecie dzieci?

A oto już na Zaświciu rozległ się głos matki, tęsknoty pełen:

— Córka moja! Wiosenko moja, wracaj, bo smutno starej matce bez ciebie.

Wróciła Wiosna do matki i przejeżdżając przez strumień Zapomnienia, ogładnęła się raz jeszcze, dojrzała wiele pól odłogiem leżących i wiele dzieci leniwych i zasmuciła się, że tak źle korzystały z nauki.

A w świat pojechało lato, smągła, urodziwa dziewa o warkoczach czarnych, jak noc, szedł przy niej Skwar dorodny i Deszcz nagły, sunęła ciotka Burza z Wichrem pod ramię. Wjechali w słonecznym blasku, śliczni, młodzi.

Wszystkie kwiaty się nagle rozwiły z pączków zatulonych, rozkłyśały zboża kłosem, zapachniały różę.

Lato! Lato! Lato miłościwe!

I serca ludzkie stały się radosne i dobre, jakgdyby i ich słońce prześwieciło na wskrós.

Jechało lato światem, w parne noce, w słoneczne dnie i z koszów olbrzymich rzucało kwiaty, owoce, jagody. Biednym pastuszkom wyczarowywało nagle grzyby u bosych stóp.

— Bierzcie! Ale pamiętajcie, że przyjdą jeszcze moje dwie siostry, że do mojego powrotu daleko, pracujcie i oszczędzcie. Szczędzcie i pracujcie.

Czasem braciszek Deszcz nagły łagodził Skwar, by ludziom zbyt nie doskwierał, czasem ciotka Burza przybiegała groźna, gniewna, nagadała, naterczała, zabłysła, zażgrmiała, plunęła deszczem i uciekała do Zaświecia na wypoczynek.

A świat, jak jeden ogród był, jak jeden czar.

Słyszycie, kłós już brzęczy w życie, na żniwa czas.

Zabrzęczały kosy i sierpy, zapachniały pokosy, zboża dały życie pod ręką żniwiarzy.

A oto na Zaświeciu rozległ się głos matki:

— Córku moja! Lato moje wracaj! Wracaj!

— Już odchodzisz od nas królewno. — Płakali ludzie i usiłowali ją zatrzymać za kraj szaty złocistej. — Zostań z nami.

Uśmiechnęła się smutno królewna.

— Czyż nie wiecie, że każdy ma swoją godzinę, w której odejść musi i ja mam swoją. Nie wolno mi z wami pozostać dłużej, ale ci, którzy pracowitymi byli przez czas mego królowania, spokojnie mogą czekać Jesieni i Zimy, przetrwają.

— Nie wszyscy pracowali...

Ktoś zapłakał.

Westchnęła królewna:

— Bywajcie.

A z chaty na Zaświeciu wybrała się w podróż Jesień; cudnaż to była królewna o włosach jako miedź i oczach zadumy pełnych, w szatach bogatych, lśniących czerwienią i złotem, ze smutnym uśmiechem na dziewczęcej twarzyczce, jechała w świat. Snuły się za nią mgły ciężkie. u boku brat Wichor melodje ponure łkał, a braciszek Promyczek słoneczny z trudem tylko mógł jej towarzyszyć, bo co chwila mgły go osnuwały i Deszcz przesłaniał swoją szarą szatą.

I gdy Jesień w zielone liście lipy rzuciła pierwsze złoto, niechętnie spojrzeli na nie ludzie.

— O, jesień już idzie.

I wielu z nich płakało, iż im na igraszkach pustych zbiegła wiosna

i lato, a jesień nie miała dla nich żadnego plonu, ci widzieli zamiast ślicznej królewny, ohydną twarz Nędzy, wionącą światem.

— Dalej bracia! Dalej! — nawoływała Jesień, oto pogodny dzień, słońce żarne, zbierajcie owoce z drzew, wykopujcie ziemniaki, uprawiajcie rolę pod nowy siew. Spieszcie się! Spieszcie!

Tęcza barw zajaśniał świat, bo miłowała królewna Jesień złoto i purpurę i rozsunęła je wszędzie pracowitemi dłońmi. Malutkie pajęczki wylegały na pokosy i ścierniska i rozrzuciły, rozsunęły

pajęczyny, wichor je porwał i niósł daleko, daleko, rosa je osrebrzyła łzami ziemi, oczekującej zgonu, lękającej się zimy.

Ostatni plon już w piwnicach i na strychach.

Rankiem jednego dnia Jesień zapłakała, bo braciszek mróz, swawolnik niepocziwy, przyleciał w gwiaździstą noc, lśniący, zimny i pocałował drzewa, które tak pracowicie, tak cudnie złotem i purpurą ubrała Jesień i gdy rano zaświeciło słońce i wiatr zaszumił:

— Fu... Fu...

Poleciały liście złote, purpurowe, jak motyle barwne i ziemię zastyły wkrąg. Wyciągnęły drzewa nagie konary ku błękitnemu niebu w skardze żałośliwej a Jesień... Jesień, zapłakała.

Płakała długo, aż świat spowiły mgły, wezbrały rzeki a na drogach porobiły się kałuże błota. Ludzie chowali się w głąb domów i kichali, kichali!

— A... psik! Co ta jesień, jesień niepocziwa... A... psik!

I słabsi odchodzili w zaświaty, bo ich jesień otrząsała z drzewa



Zbierajcie owoce z drzew!

życia, jak te zwiedłe liście. Szli zdawać rachunek Bogu ze swojej życiowej wiosny i lata i ze swego jesiennego siewu, dla przyszłości świata.

— O wracaj! Wracaj! — Nadleciał głos matki.

Jesień powlokła się do chaty na Zaświciu, nikt jej nie płakał, nikt jej nie usiłował zatrzymać, dała światu bogactwo zbiorów według zasługi pracowników, ludzie jednak widzieli tylko żałobę łez.

Na świat wkraczała królowna Zima, leciała przed jej białym koniem gromada chłopaków-pustaków, śniegulków gromada, sypali śnieg, z buziakami czerwonymi od mrozu, z oczyma iskrzącymi swawolą, sypali rozwirowane płatki na błotną ziemię.

— Hej! Kto więcej nasypie!

— Hej! Kto prędzej!

A na białym koniu jedzie królowna Zima, zatulona po sam noszek od mrozu czerwony, w futra białe, kroczy za nią Mikołaj święty, by radość dzieciom rzucić w głąb chat zawalonych śniegiem, boć zbyt długą zdałaby się im zima. Płyną aniołki i niosą drzewka pełne światła, radosne drzewka i dzwony dźwięczą nowiną:

— Bóg się rodzi!

Biała królowna zima otula miłościwie szatą lśniąca drzewa i kwiaty, by do wiosny przechowały życie, by ich nie zwarzył Mróz.

— Chłopaki-pustaki, sypcież śnieg! Pierzynkę dla Matki-ziemi!

O, leci! Leci, taki biały, puszysty, radosny.

W mroźne noce gwiazdy zdają się bliższymi ziemi, jak w zimie życia, niebo staje się bliższe duszy człowieka.

A w mroki chat wkrada się stara baśń. Wchodzi cicha, u przy piecka przysiada i gadki snuje, o tem co było, o tem co nie było, wrota w krainę cudów szeroko rozwiera, rozpala serca tęsknotą, miłowaniem, pragnieniem nieznanego.

Królowna Zima czasem do szyby się przytuli i słucha.

A wtedy pod jej tchnieniem na szybach wyrastają kwiaty, dziwne kwiaty z lodu, co mrą w pierwszym słońca promieniu.

Duchy kwiatów.

Zaświecia kwiaty.

— Dyn-dy-lin!

Co to! Co?

Wiatr ciepły powiał nowem życiem, otrząsa śnieg z drzew.

Dusze kwiatów wracają do ziemi, by zakwitnąć, zapachnieć na nowo...

Nowe życie!

Do chaty na Zaświciu wróciła ostatnia królowna.

Opowiedziałam tę baśń mojemu synkowi a teraz z kolei opowiadam ją Wam, kochane, nieznanne dzieci, czy ją odczujecie i zrozumiecie?

Marja Czeska-Maczyńska.



O STASIU „CHRZAŚTECZCE“.

Jeden z chłopców naszej szkoły zdobył sobie przez wakacje prawdziwy zegarek.

Było to tak.

Nauczyciel zachęcał nas do zbierania ziół leczniczych i obiecał, że pokaże nam, jak się je suszy i przygotowuje do sprzedawania w aptece. Całe bowiem lato paśliśmy prawie wszyscy bydło po słonecznych zboczach i mieliśmy wiele czasu.

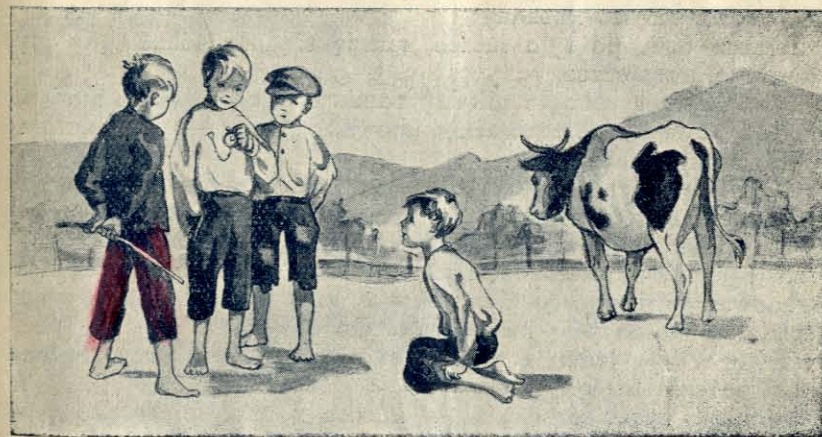
Tylko Stefek i Janek Dąbczak pracowali u kowala i ci się nie liczyli. Też Walek od Karwali chodził do pola.

Było nas z piętnastu. Gdybyśmy się mogli byli zejść na jednym pastwisku, bawilibyśmy się pysznie i czasby się nam nie dłużył, ale nie było nigdzie dosyć paszy i każdy pędzić musiał swoich kilka krów po leśnych polanach, lub w łożach nadrzecznych, lub między jeżyniskami. Czasem hukaliśmy na siebie z oddali, wygrywaliśmy na fujarkach jakieś tęskne i dzikie melodie, ale po większej części nie robiliśmy nic.

To też spodobało nam się zaraz, co nauczyciel mówił, bo każdy z nas byłby przecież zadowolony coś z własnych pieniędzy uciąć. Przytem i nam przyszły zaraz nowe pomysły do głowy. Można było jagody i grzyby odstawiać do dworu, można było robić koszyki z łoży na jarmark i dużo rzeczy można było...

Ale ja sobie zaraz pomyślałem, że u wielu chłopaków nie będzie z tego nic.

Wprawdzie z początku to się każdy rwał do zarabiania, każdy obliczał, co sobie za swoje pieniądze kupi, ale co innego gadać, a co innego robić. Już się tak jakoś przyzwyczaili do wałęsania się po



I to Witek miał prawdziwy zegarek!

samotnych miedzach za łaciatemi krowami, wołając „hu! hu!” za cielakiem i potrzaskując z biczyska.

Co najwyżej liczyłem na Witka, któregośmy przewali „Kozioł”, bo się wciąż marszczył jak sołtys, a taki był uparty, że go i sam nauczyciel nie przekonał. Ale był chłopak sielny i jak powiedział, to gotów był zrobić.

Liczyłem też na Stachusia „Chrzęsteczkę”, który był chudy jak kurczak, biały jak dziewczyna, a zwinny jak kot i zawsze wszystko umiał zmajstrować.

Pewnie i Felek byłby co zrobił, ale Felek się rozchorował.

Co do mnie, to z góry oświadczyłem, że mi się nie chce, bom był w owe czasy wielkie „nic dobrego”.

Moje przewidywania okazały się prawdziwe. Prawie wszyscy zabrali się pierwszego dnia do pracy i aż śmiech brał, jak wracali wieczór od pola obładowani zielskami, nieraz z korzeniami i ziemią powyrywanami.

Nauczyciel kazał wszystko powyrzucać, tylko niektóre zioła zatrzymał, kazał poczyszcząć, poobcinać i suszyć w cieniu. Tak się zaraz wielu chłopców zniechęciło. Mogę powiedzieć, że przez całe wakacje pracowali tylko Stachuś i Witek „Kozioł”.

Bywało, siedzę ja z mojami krowami na miedzy i patrzę w las, a tu się między krzakami coś rusza. Ruda Kwiatuła Stachusiuwa prześwieca przez liście, a wyżej widzę małą, drobną postać „Chrzęsteczki”.

„Oho! — robi majątek” — pomyślałem i uśmiechnąłem się, bo wszyscy w klasie lubiliśmy Chrzęsteczkę. Nie można było nie lubić tego chłopaka. Takie to było malutkie, a zawsze uprzejme, zawsze uśmiechnięte. Sam uczył się dobrze i innym odrabiał zadania. Łapał motyle dla Jurka, który zakładał kolekcję, a dziewczynki bronił, gdy im który z chłopców dokuczał, przytem nie prawil nikomu morałów i był bardzo, bardzo kochany.

Jeszcze dziś, po tylu latach, muszę się uśmiechać, gdy myślę o Staszku Chrzęsteczce.

Tymczasem gruchnęło między nami, że i on i Witek mają tyle pieniędzy, że będą sobie zegarki kupować. „Oho” — pomyślałem — i zrobiło mi się trochę żal.

Ale wieść okazała się o tyle fałszywą, że w poniedziałek, gdyśmy się pierwszy raz zebrali w szkole, tylko Witek zjawił się dumny jak paw, z cudnym, niklowym zegarkiem w kieszeni, który mu nauczyciel za jego własne pieniądze sprowadził. Wszyscy chłopcy dotykali z uszanowaniem lśniącego łańcuszka, a Witek przykładał im zegarek do ucha. Rozkoszowano się tajemniczem „tik-tak”.

„I to Witek, jeden z nich, miał prawdziwy zegarek! Splendor spływał na całą klasę.

Stachuś Chrzęsteczka stał w kąci z miną niebardzo pewną i jakby trochę zapłakany.

— Cóż, Chrzęsteczko — rzekliśmy mu na powitanie — a ty, nie masz zegarka?

Spojrzał na nas nieśmiało i powiedział:

— Nie wystarczyło mi pieniędzy!

Innemu chłopcu bylibyśmy dokuczali, — ale, że to był Chrzęsteczka, daliśmy mu pokój.

I proszę sobie wyobrazić, wracamy wszyscy razem ze szkoły, trzymając się pod ręce, — Witek błyszczał swym nowym zegarkiem jak słońcem. Wtem biegnie ku nam jakaś kobieta. Myśleliśmy, że zobaczyła zegarek „Kozła” i zatrzymała się, by go podziwiać, ale ona tak, jak była, z dzieckiem na rękę i owinięta chustką, przypadła do Stachusia i ściskając go, szeptała nawpół zrozumiałe wyrazy. Z początku nie wiedzieliśmy, o co chodzi, ale potem zrozumieliśmy.

Rzecz miała się tak.

Gdy Chrzęsteczka szedł do nauczyciela ze swemi pieniędzmi, spotkał ją, jak płakała, bo nie miała za co kupić lekarstwa dla chorego synka. Malec dał jej część swoich pieniędzy. Teraz dziękowała mu, bo dziecko wyzdrowiało, ale wyrazy płątały jej się i powtarzała wśród łez:

— Niech ci Bóg nagrodzi, złote dziecko!

Już dużo później dowiedzieliśmy się, że ponieważ pozostałe pieniądze nie wystarczyły na zegarek, Stachuś obrócił je na zakupno czapki dla starego Józka, który swoją zdarł doszczętnie w ostatnich miesiącach. Nigdy nie zapomnę wyrazu, z jakim pocziwe człeczysko patrzyło kiedyś na chłopca, gdyśmy byli wszyscy razem w kościele wioskowym.

Zdawało mi się wówczas, że bledziutka twarz Chrzęsteczki nabierała w jego oczach piękności, jakoby archanielskiego oblicza.

Dwa lata po owem wydarzeniu, zabrał mnie ojciec ze szkoły. Wkrótce potem wyjechaliśmy do miasta i nigdy już nie wróciłem do naszej wsi. Nie wiem, co stało się z Witkiem, Jurkiem i innymi chłopcami, ale często myślę o nich wszystkich i wtedy jasną plamą wśród szarych wspomnień staje mi postać Stachusia i dźwięczy mi w uszach jego dziecinny, nieśmiały głos:

— Nie wystarczyło mi pieniędzy.

Drogi, mały Stachuś Chrzęsteczka.

S. M. T.



Nad dzieckiem.

Nad dzieciątkiem gdy się do snu położy

Czuwa promienny anioł boży,

Co niewidzialny u wezglowia stoi.

Niech dziecko śpi i o nic się nie boi...

Niczem nie przeraża, niczem nie trwoży — — —

Czuwa nad niem promienny anioł boży.

M. Czerkawska.

O TEM, JAK LILA SZŁA DO KRÓLOWEJ TATR.

— Już dosyć na dzisiaj — powiedziała mamusia, zamykając książkę — przyniosę ci teraz kolację, a potem mamusia przyjdzie jeszcze na dobranoc.

— Czy Marysia doszła do królowej Tatr? — spytała Lila i utkwiała ciekawie wzrok w czarnych oczach mamusi.

Ale mamusia nie chciała nic powiedzieć, a książka o „Krasnoludkach i sierotce Marysi” leżała już tajemniczo zamknięta w szafie.

Stara Katarzyna przyniosła Lili kolację i garść świeżych wrzósów, pachnących lasem.

Lila już długie dni spędzała w swoim białym łóżeczku i nie mogła nawet wyjść na ganek wtedy, kiedy Wandzia, jej starsza siostra wyjeżdżała po wakacjach do szkoły. Nie mogła też Lila chodzić na grzyby ze starą Katarzyną, ani szukać krasnoludków pod pniami drzew.

Czasem stara Katarzyna przyniosła do łóżeczka Lili kosz zebranych grzybów, pełen prawdziwków, maślaków i rydzów.

Odkąd mamusia zaczęła czytać Lili historję o Koszałku-Opałku, Podziomku i sierotce Marysi, Lila ukradkiem patrzyła pod kapelusze grzybów, — ale nie znalazła nic, prócz jednego, brązowego ślimaka.

Może stara Katarzyna ma słabe oczy, a może po drodze krasnoludki pouciekały z kosza? Może się nawet któremu co złego zrobiło, gdy wyskakiwał z kosza?

A może krasnoludków naprawdę niema?

Mamusia przyszła do Lili na dobranoc.

— Niech ci się przyśni Marysia sierotka — powiedziała odchodząc — i niech ci powie, czy była u królowej Tatr...

Lila przytuliła się mocno do mamusi, a potem podniosła główkę tak wysoko, że mogła szepnąć do ucha:

— Mamusiu, ale tak naprawdę, tak bardzo naprawdę...

— Co naprawdę?

— Czy są krasnoludki?...

Mamusia uśmiechnęła się dziwnie tak, jakby nie chciała powiedzieć wielkiej tajemnicy i szepnęła Lili do uszka:

— Spytaj się o to Misia.

Zamknęły się drzwi za mamusią; stara Katarzyna zabrała resztki z kolacji, a w pokoju zrobiło się już zupełnie ciemno.

Właściwie to Lila mogłaby iść także do królowej Tatr. Gdyby pojechała pociągiem, to za dwie godziny byłaby w Zakopanem. Ale lepiej iść pieszo. Weźmie Misia ze sobą. Miś leży na kanapie w pokoju Wandzi. Trzeba iść cichutko, bo Wandzia mogłaby usłyszeć. Ale nie, prawda, Wandzia jest w Krakowie. Tylko trzeba jeszcze ubrać się ślicznie na tę wyprawę...

Czy to nie pokój Wandzi? Tak, biały stolik, biała szafka i różowa kanapa, a na kanapie Miś. Lila bierze Misia na ręce i idą.

Czy to noc, czy to dzień? Pewnie dzień, bo zupełnie wyraźnie widać brunatno-złote pnie sosen, las tuż tuż.

Pod trepkami Lili trzeszczy suche igliwie. Cisza. Las szumi. Z pod grubego pnia sosny uśmiecha się do Lili krasny muchomor. Obok drugi, a tam — trzeci. Co tu grzybów!



— Ja się nazywam Baj z Banialuki.

Lila biega od pnia do pnia, a pomiędzy wielkimi korzeniami drzew sterczą nakrapiane, biało-czerwone kapelusze.

— Misiu, Misiu, co tu grzybów!

Ale Miś, może dlatego, że był z nad Oceanu Lodowatego, na grzybach się nie znał.

Nagle coś się ruszyło pod wielkim muchomorem.

Serce Lili uderzyło mocno, a Miś przerażony, przytulił się ze wszystkich sił do niej.

Coś mignęło raz jeszcze, a potem stała się rzecz dziwna. Na wielkim kapeluszu muchomora usiadł malutki człowieczek i patrzył na Lilę z uśmiechem.

— Koszałek-Opałek — szepnęła Lila z zachwytem.

— O nie — odpowiedział człowieczek, — Koszałek-Opałek dawno umarł. Ja się nazywam Baj z Banialuki.

— Baj z Banialuki! jak ślicznie! A ja się nazywam Lila Wierzbicka, a to jest Miś. Poszliśmy w drogę razem, żeby odnaleźć królowę Tatr.

— Ho, ho! a to mi wielka osoba! — zaśmiał się Baj.

Lila zarumieniła się po uszy.

— Coza podarunki niesiesz dla królowej Tatr, co jej powiesz? — pytał dalej Baj. — Czy znasz drogę?

Lila zrozumiała nagle, że wybrała się w drogę tak, jakby była małą, niemądrą dziewczynką. Wstyd jej było, że Miś słyszał to wszystko, ale już nie było rady.

— Właśnie... może pan Baj z Banialuki będzie taki dobry...

— I służy za przewodnika — dokończył Baj. — A mało to mam do roboty! Jeszcze czego!

— Bo, bo... — bąkała Lila, a łyzy nagle zasłoniły jej muchomora i Baja i las cały.

— No, to mazgaj z ciebie — udobruchał się Baj. — Jak chcesz, to ci dam skarby dla królowej Tatr, a potem drogę ci pokażę, ale żeby iść ze mną, musisz stać się taka mała jak ja.

— Jak mamusia zobaczy, to będzie płakać — szepnęła Lila.

— Nic się nie bój, będzie wszystko dobrze. Zostaw Misia. Patrz, kładę Misiowi między łapki tego czarodziejskiego muchomora; — gdy go dotkniesz, będziesz znowu zwykłą dziewczynką.

I nagle wydało się Lili, że cały las urósł, jak na drożdżach, a Miś był chyba trzy razy większy od niej. Muchomor swój wielki parasol rozpostarł nad nią.

— Chodź — zawołał Baj i wziął Lilę za rękę.

Przeskakiwali teraz przez zeschnięte igliwia, przez kępy żółkłej trawy.

— Tędy — szepnął Baj, pokazując otwór w ziemi.

Szli teraz poomacku. Lila słyszała tylko od czasu do czasu zręczenie starego Baja i tupot jego małych kierpców.

Po chwili pierwszy promień światła wpadł do ciemnego korytara, za nim drugi i trzeci, aż zrobiło się zupełnie jasno i stanęli w wielkiej komnacie.

Tęczowe krople rosy sypały skrami na wszystkie strony, a pod ścianami stały rzędem łupiny leśnych orzechów. Obok każdej łupiny leżał na ziemi wielki pędzel.

Lila przysłoniła ręką oczy, tak było jasno.

— To nasza sala tęczowa — objaśnił Baj. — Rano, skoro świt, przychodzą tu krasnoludki, każdy bierze swoją łupinę i idzie malować liście drzew.

— To wy malujecie liście? — spytała zdziwiona Lila, — ja myślałam, że to królowa Jesień.

— Jakżeby królowa Jesień nadażyła z robotą! To my, krasnoludki, pracujemy nad tem. Ale chodź dalej!

Weszli do wielkiej sali, gdzie stały kryształowe dzbany i z nici pajęczych utkane kobierce, a w szklanych skrzyniach lśniły śnieżnobiałe perły. Z boku stały stare księgi.

— To sala skarbowa — objaśnił Baj. — Patrz, tu są zaklęte uśmiechy radości i łyzy współczucia, a w tych wielkich księgach są zapisane dobre uczynki każdego człowieka.

— Jak tu dobrze! — szepnęła Lila bo czuła, że jej serduszko pełne jest jakiegoś wielkiego szczęścia i wielkiej radości.

Stali długo w tej sali uśmiechów i szczęścia.

— Czy to już wszystko? — spytała Lila.

Ale Baj milczał i stał nieruchomy. Rękę położył na klamce zamkniętych drzwi i rozmyślał.

Serduszko Lili zabiło niepokojem.

Baj szepnął tajemniczo:

— Za temi drzwiami jest sala smutku, czy nie boisz się iść za mną?

Lila czuła, że się boi, ale coś ją pchało, żeby pójść za Bajem.

— Pójdę — odparła dziarsko.

Skrzypnęły zmurszałe drzwi, a do uszu Lili doleciał wyraźny płacz.

— Co to?

— Sza! Tu, w tych skrzyniach są zaklęte łyzy. łyzy ludzkie, łyzy biednych dzieci i łyzy zająca, któremu zabrali młode i łyzy słowika, któremu źli chłopcy popsuli gniazdo. Tu są zaklęte wszystkie krzywdy ludzi i wszystkie krzywdy zwierząt. Czy słyszysz, jak płaczą?

A z oczu Lili zaczęły spadać na ziemię wielkie, wielkie łyzy.

Baj porwał łupinę włoskiego orzecha i zbierał łyzy Lili, a każda łyza zamieniała się w drogocenną perłę. Ale Lila nie widziała tego, co Baj robił, tylko słyszała, że głos zaklętego płaczu cichł, wreszcie umilkł zupełnie.

A wtedy Baj podał Lili jej własne łyzy, zamienione w perły i rzekł uroczystym głosem:

— Słuchaj, Lilo, tajemnic królestwa krasnoludków! Do komnat naszych wolno wejść tylko temu, kto nigdy nie zrobił żadnej krzywdy nikomu, nawet najmniejszemu zwierzęciu. W twojej księdze życia niema zapisanej żadnej krzywdy. A teraz weź swoje łyzy i zanieś je w podarunku królowej Tatr.

Lila chwyciła łupinę orzecha z radością. Baj prowadził ją za rękę.

— Mój Miś... — zawołała nagle Lila, — przypominając sobie, że został sam, samiusienki przy wielkim muchomorze.

Baj z Banialuki przystanął.

— Nie pójdę bez Misia — szeptała Lila — nie pójdę bez Misia...

— Zaraz ci Misia przyniosę — odezwał się nagle słodki głos mamusi, a na zapłakanych oczach Lili spoczął serdeczny pocałunek.

— A królowa Tatr? — spytała Lila.

— Nic, nic, córeczko, będziemy zaraz czytać o królowej Tatr...

Czy Lila odnajdzie jeszcze kiedy Baja z Banialuki i pójdzie z nim do królowej Tatr-?

Może...

A. Cruscy.



Ciekawe dla zbierających znaczki pocztowe.

W Ameryce wydano nowe znaczki pocztowe dla upamiętnienia jubileuszu elektrycznej lampki żarowej, wynalezionej przez sławnego uczonego Edisona. Pierwszą taką lampkę zbudował Edison 21. października 1879 r.

Te nowe znaczki, wartości 2 centów są barwy różowej, uwidocziona na nich lampka elektryczna i napisy: „Pierwsza lampa Edisona“ „Złoty jubileusz światła elektrycznego“.

180 milionów sztuk tych znaczków już wykupiono, a najwięcej w miejscowości Meniow Park, gdzie mieszka sędziwy wynalazca.

Obowiązek.

(Zdarzenie prawdziwe).

Przed paru tygodniami dokonano nocą zbrojnego napadu na dom budnika kolejowego na linii Lwów-Przemyśl. Bandyci oddawszy kilka strzałów rewolwerowych, zmusili żonę i córkę budnika do ucieczki w las, a sami zrabowali garderobę i przedmioty wartościowe. Budnik, Stanisław Dubiel, pełniący, w chwili napadu, służbę przy nadchodzącym pociągu, widział z oddali, co się dzieje w jego domu, ale wiedział też, że usuwając się w tej chwili z zajmowanego stanowiska, naraziłby życie ludzi jadących pociągiem. Więc się nie ruszył z miejsca, aż do przejścia pociągu. Wytrwał w pełnieniu obowiązku!

* * *

A ty jak spełniasz swoje obowiązki?

* * *

W tym miesiącu starać się będę jak najdokładniej wykonać tę pracę, która mi najwięcej sprawia trudności.

OD REDAKCJI.

JONAS JAN W KRAKOWIE. Nie wiem, o którego chłopca pytasz się. Podaj jego nazwisko. Może kiedy w redakcji spotkacie się, to was zapoznam.

ELEONORA MICKÓWNA Z PILŻNA. Czy już dostała naszą kartkę? Bardzo nam przykro, że się tak stało. Przyslij jeszcze teraz swoje opowiadanie i niech przywiązanie do „Małego Światka“ nie stygnie, bo on Was, Dzieci Drogie, bardzo kocha.

MIECZYŚLAW SZCZĘCIŃSKI Z NOWEJ WILEJKI. Cieszę się, że tak ci się podobała książka, którą dostałaś w nagrodę za dobrze rozwiązywane nieltówki. A czy sam łamigłówek układać nie umiesz?

PIOTR LISIECKI I STEFAN BARTCZAK Z KOSTOPOLA. Dziękujemy za ładnie wyrysowane łamigłówki. Tymczasem liczymy punkty za te, co już wydrukowane, potem doliczymy więcej. Czy wy razem uczycie się?

MARYSIA OLEJNIK W STANISŁAWOWIE. Czy zdawałaś egzamin do gimnazjum? Jakże się udało? Twoje wierszyki zawierają ładne myśli, więc zachowamy je w redakcji na pamiątkę, ale drukować ich nie możemy, bo w sposobie układania są tam błędy, których dziś sama nie umiesz poznać. Jak się więcej będziesz uczyła i dużo ładnych wierszy czytała, to sama później te błędy znajdziesz i poprawisz.

Pisanie wierszyków — to trudna sprawa, więc nie dziwnego, jak się któremu dziecku nie uda. Twój list był bardzo zajmujący. Napisz znowu coś o szkolnym życiu.

MICHAŁ WOROBIEJ W DERE CZYNI E, czy otrzymał żądane egzemplarze?
KRZYSIA KÜHNELÓWNA ZE LWOWA. Czemu nie odpowiedziałaś na żadne z pytań postawionych przez redakcję?

JULJAN ŚWIERKOSZ Z KRAKOWA. Staraj się w tym roku tyle łamigłówek rozwiązać, żeby zdobyć nagrodę.

WŁADYSŁAW SCHULTA Z KOŚCIERZYN Y. Jak Ci się podobała książka, którą za nagrodę otrzymałaś?

ŁADNE STROJE.

Obok umieszczony obrazek przerysujcie na sztywną kartkę papieru i pokolorujcie według załączonych wskazówek. Będzie to ładna pocztówka i do wysłania i do zbiorów ze wzorami polskich strojów.

MAZURZY

KOBIETA

Czepiec: zielony w czerwonej kratce,
gorset: granatowy,
spódnica: biała w czerwone paski,
fartuch: czerwone, żółte i zielone pasy.

CHŁOPIEC

Kamizelka: granat. z czerw. wypustkami,
pas: czerwony,
spodnie: w czerwone paski,
płaszcz: kremowy z nieb. obszyciem.



DOBRE ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK Z N-ru 9—10

nadesłali: z *Doliny*: Bolesława Lacykówna, z *Korabnika*: Irusia Czopkówna, z *Krakowa*: Jerzy Oplustil, Adaś Krawczyk, Henryk Nowotnik, z *Kościierzyny*: Władysław Schulta, ze *Siemianowic*: Łucja Gruberówna.

DOBRE ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK Z N-ru 1-go
I NOWE, DOBRE ŁAMIGŁÓWKI

nadesłali: z *Kołomyi*: Irena Świątkowska (3 punkty), z *Kościierzyny*: Władysław Schulta (1 punkt), z *Kostopola* Piotr Lisiecki (4 punkty), Stefan Bartzak (4 punkty), z *Krakowa*: Marysia Woźniakówna (2 punkty), Stefa Szydłowska (2 punkty), Tadeusz Duszkiewicz (3 punkty), Julian Świerkosz (1 punkt); ze *Lwowa*: Krysią Kühnelówna (4 punkty).

* * *

NAJLEPSZA ODPOWIEDŹ na pytanie postawione przez redakcję w Nr. 1. „Małego Światka“, dała *Muska Jakóbczakówna*, ucz. II. oddz. szk. powsz. w *Lubaczowie*. Oto co nam opowiada: „Wakacje spędziłam w tym roku u babusi na wsi. Tam zajmowałam się królikami. Z początku była tylko jedna króliczka. Po kilku dniach znalazłam młode. Były ich trzynaście. One nie widziały nic, były ciemne i nagie. Siedziały w puchu i tuliły się do siebie. Rano i wieczór karmiła je matka. Po kilku dniach pokryły się białym puszkim i otworzyły oczka. Odtąd nosiłam im już liście kapusty i koniczyny. Króliczki biegały sobie wesoło i jadły to, co im przynosiłam. Pięć królików zabiło się. Zostało tylko osiem“.

* * *

Wandzia Grunwald z *Poznania* ładnie opisała, co widziała na Pow. Wystawie Krajowej, ale przysłała swą pracę za późno, więc drukowaną być nie może.

Dożynki powiatowe w Hipolitówce.

18. sierpnia b. r. odbyły się w Hipolitówce doroczne dożynki, urządzone przez Koło Mł. W. i Koło Rolnicze.

O godz. 8¹/₂ rano ruszyła konna banderja w strojach krakowskich, a z nią wóz drabiniasty, zaprzężony w cztery konie, na którym jechały wieńczarki, w strojach krakowskich. O godz. 9-tej nadjechał samochodem Pan Starosta, przesiadł się na wóz i jechał w gronie krakowianek. Wtedy jedna czwórka banderji wyjechała naprzód, dwie ustawiły się z dwóch stron wozu, a trzecia za wozem. I tak jechali do bramy, a w drodze śpiewały krakowianki różne piosenki; jedną zapamiętałem: „Najstarszy jest w Polsce Pan Prezydent Mościcki, A w naszym powiecie Pan Zygmunt Kubicki. Oj dana, drużyno kochana... i t. d.“

Gdy dojechali do bramy, na której było napisane dużymi literami: „Witaj nam Dostojny Gospodarzu“ i były przybite sierp, kosa i grabie,

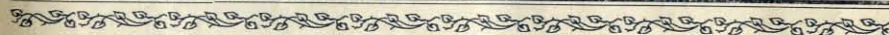
Pan Starosta wysiadł z wozu. Powitali Go okrzykami, a jeden z członków Koła Rolniczego miał przemowę i podał Panu Staroście chleb i sól jako gospodarzowi całego powiatu. Potem w pobliskiej kapliczce Ksiądz Stanisław Ostaszewski odprawił Mszę św. W czasie Mszy św. śpiewali pieśń, ułożoną przez jednego z członków Koła.

Ksiądz Proboszcz poświęcił dożynkowy wieniec, a potem przed Panem Starostą przejeżdżali rolnicy z narzędziami rolniczymi, a więc z pługiem jednoskibowym, z dwuskibowym, z młockarnią i t. d., a na ostatku jechała fura zboża, za którą szli żniwiarze z sierpami i kosami.

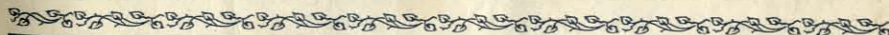
Pan Starosta i publiczność stali na wzgórku, gdzie była figura, postawiona przez Koło Mł. W. i Koło Rolnicze na pamiątkę 10-cio lecia odzyskania niepodległości Polski.

Potem nastąpiło wręczenie wieńca i Pan Starosta miał przemowę do rolników. Po przemowie Pan starosta i dostojnicy zostali zaproszeni na obiad, a po posiłku, Pan Starosta oglądał konkursowe ogrody, gdzie zachwycał się wzrostem pomidorów. Wieczorem odbyła się wieczornica z tańcami. Pan Starosta odjeżdżając z Hipolitówki, dziękował kierownikowi szkoły Telukowi Józefowi, oraz wszystkim, co urządzali dożynki.

Piotr Lisiecki, VI. kl. szk. powsz.



CZY LUBICIE czytać książki poważniejsze? Jeśli tak, to postarajcie się o śliczne książeczki z „Biblioteki Przyrodniczej“ — wydawanej przez Księgarnię św. Wojciech w Poznaniu. Jest między nimi bardzo zajmująca, napisana przez prof. *B. Dyakowskiego* p. t. „O Wulkanach i ich wybuchach“. Dużo z niej dowiecie się ciekawych rzeczy o górach ogniem ziejących.



ŁAMIGŁÓWKI.

Gra „w pięciu“.

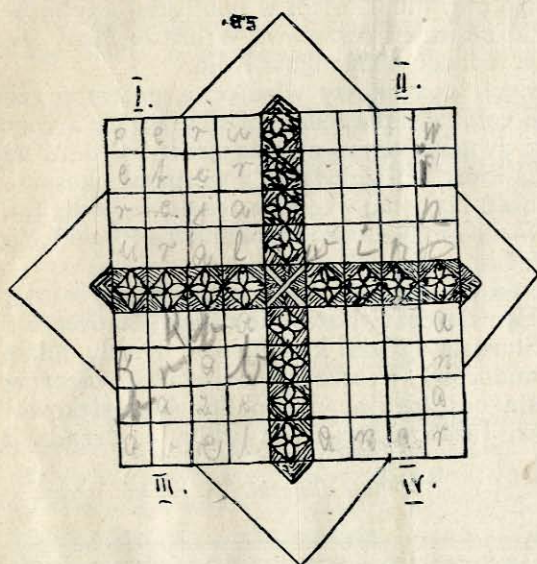
Jeżeli chcecie się nauczyć tej gry, to przypatrzcie się Marylce i Zosi. Wzięły szachownicę od halmy, podzieliły się pionkami, Marylka wzięła zielone (X) a Zosia niebieskie (O). Chodzi o to, żeby postawić 5 swoich pionków w jednym rzędzie pionowym, poziomym lub ukośnym. Kiedy Zosi uda się postawić 4 pionki koło siebie, Marylka stawia swojego na piątym miejscu — i już wszystko popsute. Teraz przypatrzcie się rysunkowi: Zosia nie uważała i Marylka ma już swoje „pięć“!

```

O O O O X
O X X X X X
      X X O
O O X
  
```

Kwadraty magiczne.

(ul. St. Bartczak).



Zagadka.

W swojej młodości przez długie tygodnie
 Karmi się liśćmi, chodzi swobodnie.
 W wieku dojrzałym — cała się zmienia,
 Żyje bez światła, ruchu, jedzenia.
 A kiedy przyjdzie okres starości
 Wyfruwa na świat w krasie piękności.

Szarada.

Pierwsze z drugim, wytwór z mleka stanowi,
 Drugie z pierwszym, za pokarm służy dobytкови.

PRENUMERATA roczna — 2 zł., kwartalna — 60 gr., cena pojed. egzemplarza — 25 gr. — Przy nadsyłaniu kwoty mniejszej niż 2 zł. należy dodać 5 gr. na porto.

Adres redakcji i administracji: Kraków, ul. Starowiślna 11.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro“ Nr. 404.930.

„Dziś i Jutro“ — miesięcznik dla młodzieży żeńskiej — prenumerata roczna — 8 zł.
 Egzemplarze okazowe wysyła się bezpłatnie. — Adres: Kraków, ul. Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Julja Felicja Bronikowska.
 Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie, ul. Tad. Kościuszki 3.

I.

Państwo w Ameryce południowej. — Wypełnia przestrzeń wszechświata. — Poprzeczny drąg na masztach okrętowych. — Planeta.

II.

Stolica jednego z państw Ameryki północnej. — Mityczny lotnik grecki. — Widmo. — Napój alkoholowy.

III.

Rzeka na Wołyniu. — Rak morski. — Brat patriarchy Jakóba (wstecz). — Brat Kaina.

IV.

Dopływ Dunaju. — Wyżyna w Azji. — Dopływ Dunaju. — Okaleczenie (wstecz).

Szarada.

Pierwsza — to litera,
 W alfabecie się zawiera,
 Drugie — trzecie — rosną w polu
 Pośród zboża i kąkolu,
 Że czerwone — wszyscy wiecie.
 W ścianie znajdziesz pierwsze — trzecie
 Wszystko — łózka wszystkim znane
 Z grubej siatki wyrabiane.